

Jak traciliśmy złudzenia

Profesor Uniwersytetu Harvarda Grzegorz Ekiert, socjolog i politolog,
o społecznej bazie dla populistycznej rebelii.



JACEK ŻAKOWSKI: – **Co się stało Polsce widzianej z Harvardu?**
GRZEGORZ EKIERT: – Najłatwiej jest to opowiedzieć jako historię przypadku.

Wpadliśmy pod pociąg?

Prawie.

Biedna Polska.

Inni też. Gdyby 80 tys. Amerykanów zagłosowało inaczej, Trump nie zostałby prezydentem. Gdyby poprzedni węgierski premier nie przyznał się publicznie do oszustw, Orbán by nie miał większości konstytucyjnej. A gdyby lewica się w Polsce nie podzieliła i Nowoczesna nie zabrała głosów PO, Kaczyński nie miałby większości. To potwierdza tezę Machiavellego, że 50 proc. tego, co się dzieje w polityce, jest przypadkiem, więc żeby zdobyć i utrzymać władzę, trzeba mieć dużo szczęścia.

Albo, jak w banku, robić rezerwy na różne złe przypadki?

Prawa, konstytucje, instytucje polityczne, cykle gospodarcze tworzą reguły i prawidłowości, które redukują znaczenie przypadku. Ale polityka to chaotyczny proces, w którym drobne zdarzenia mogą mieć poważne i długotrwałe skutki. Gdyby Lech Kaczyński nie zginął w katastrofie, czy dzisiaj rządziłby PiS? A I wojna światowa? Kataklizm, który zapoczątkował koniec potęgi Europy, został spowodowany głupimi decyzjami rządzących, którzy nie wyobrażali sobie konsekwencji.

Tu można mówić o degeneracji elit uśpionych poczuciem bezpieczeństwa pozornie zagwarantowanego przez kongres wiedeński. Podobnie jak nasze elity uśpił pozór ostatecznego triumfu demokratycznego kapitalizmu po 1989 r. ▶

► Jedne elity śpią, a inne ostro pracują, żeby się dorwać do władzy. Badacze społeczeństwa nie lubią mówić o roli przypadku. Ważne wydarzenia powinny mieć ważne przyczyny. Dla tego historię tego, co stało się w Polsce, częściej opowiada się na inne sposoby.

Jednak coś ważnego się stało?

Tak uważają ekonomiści polityczni opowiadający historię rozwoju kapitalizmu, głównie globalizacji. W tej opowieści to kryzys kapitalizmu wyprodukował populizm. Wzrost nierówności, ich rosnąca widoczność, brak poczucia bezpieczeństwa i stabilności ekonomicznej, powstanie grup czujących, że dużo straciły albo mogą stracić, ich sprzeciw, bunt, gotowość głosowania zupełnie inaczej niż dotąd, żeby zatrzymać lub odwrócić zmiany.

„Rzućmy kości jeszcze raz!”

„Spróbujmy, czy inni politycy będą w stanie rozwiązać nasze problemy”. Podstawą tego wyjaśnienia jest wiara, że skumulowały się lekceważone przez lata problemy społeczne. Mój kolega z wydziału powtarza: od 20 lat wiedzieliśmy, że globalizacja będzie miała ważne skutki społeczne i polityczne, ale nie wiedzieliśmy jakie. A teraz już wiemy.

Wiemy?

Jak zawsze. Trochę wiemy, a więcej nie wiemy. Ale Polska nie jest dobrym przykładem dla tezy o krachu kapitalizmu, ubożeniu, nierównościach, które prowadzą do buntu przegranych. Bo w ostatnich dekadach była jednym z najszybciej rozwijających się krajów na świecie. Nierówności są w Polsce na średnim poziomie europejskim.

Więc co się u nas stało?

Bardziej przekonujące jest wyjaśnienie kulturowe. Ronald Inglehart i Pipa Norris opisują eksplozję populizmu jako reakcję na szybkie zmiany społeczne i ewolucję systemów wartości.

Chodzi o tożsamość?

O szerszą zmianę, którą nazwali niewidoczną rewolucją. Obserwowali ją przez 40 lat w ponad stu krajach. Gdy indywidualizacja społeczeństw i wzmacnianie się wartości jak równość płci, wielokulturowość, kosmopolityzm, akceptacja mniejszości seksualnych, postępują szybko i idą daleko, ludzie przywiązani do tradycyjnych wartości organizują się, by je zwalczać. Populizm jest reakcją na zmianę wartości i obyczajów. Poparcie dla Trumpa, Kaczyńskiego, Orbána, Erdoğan ma głównie kulturowy, a nie klasowy charakter. Popierają ich ludzie mniej wykształceni, z mniejszych miejscowości, starsi, bardziej religijni, identyfikujący się z bardziej tradycyjnymi wartościami.

Profesorowie też ich popierają.

Jeżeli są przywiązani do tradycyjnych wartości. Ludzie lepiej wykształceni, mieszkańcy metropolii, raczej identyfikują się z postmodernistyczną kulturą. Ale czynników kulturowych nie sposób w pełni oddzielić od ekonomicznych. Splatają się one na różne sposoby. Czynniki ekonomiczne grały większą rolę w Grecji podczas ostatniego kryzysu.

A w Polsce wygrała nostalgia?

To jest niestety coś więcej niż nostalgia. Gwałtowny zwrot polityczny jest zawsze w dużej części konsekwencją upadku dominujących projektów ideologicznych.

Porażka neoliberalizmu?

Być może. Ale też rozkład wizji przyszłości, której częścią był neoliberalizm. Przed 2008 r. idea integracji europejskiej wydawała się nie do podważenia. Integracja ekonomiczna i polityczna oparta na wartościach liberalnych i poszanowaniu prawa była niekwestionowaną wizją przyszłości świata. Miliony ludzi tej wizji nie akceptowały, ale nawet radykalni wrogowie integracji byli przekonani, że walka z nią skazana jest na porażkę.

Więc siedzieli cicho...

Operowali w gettach politycznych i na marginesach debat. Aż wybuchł kryzys 2008 r. i niepodważalna dotąd wizja przy-

szłości świata zaczęła się rozpadać. Ci, którzy uznali wcześniej, że nigdy nie będą mogli skutecznie walczyć o narodowe, religijne, konserwatywne wartości, teraz pomyśleli: „Aha, projekt integracyjny nie jest tak niezwykłony, jak się wydawało!”.

Dostali wiatru w żagle.

Uwierzyli, że jak się zorganizują, to dadzą radę ten projekt obalić. Zaczął się kruszyć tak zwany blok historyczny, czyli zespół przekonanych na temat pożądanego systemu politycznego i ekonomicznego, którego niekwestionowalność uznają nawet ci, którzy są mu niechętni.

Wróćmy do Polski i działania pańskich objaśnień. Kaczyński wszystkie je wykorzystał. Pomógł przypadkowi taśmami kelnerów. Wzmocnił reakcję kulturową, mobilizując niechęć wobec uchodźców. Dołożył ekonomię polityczną, dając 500+ pod pozorem projektu demograficznego. Podparł to Morawieckim i Ziobrą, wykorzystując rozbięcie bloku kulturowego i proponując gospodarczy nacjonalizm połączony z integracją wyłącznie ekonomiczną oraz z rządami woli w miejsce rządów prawa. Czy on wszystko to wiedział przed panem?

Zawsze mnie fascynowało, czy ludzie mający zdolność kumulowania władzy robią to w sposób intelektualny – czytają, analizują – czy też działają instynktownie, intuicyjnie, podświadomie. Może my się mordujemy, próbując ogarnąć świat rozumem, a oni wiedzą? Trump od 50 lat nie przeczytał książki. Mówi to, co jego wyborcy chcą słyszeć, i językiem, który rozumieją.

Mało wie o świecie, nie zna skutków swoich działań, ale zbiera poparcie, bo wielu też niewiele wie i nie rozumie skutków?

Wie, czego chce. Podobnie jak Kaczyński, metodą prób i błędów buduje antyliberalny, nacjonalistyczny blok historyczny. Obaj wiedzą, że trzeba do tego użyć kulturowego budulca, który jest dostępny. Połączyć ludowe przekonania, nawyki, nadzieje, lęki, złudzenia wytworzone w przeszłości z obietnicami dotyczącymi problemów aktualnego świata. Wyciągamy trochę idei narodowej zakonserwowanej w II RP, dokładamy kawałek komunistycznej wiary w prosto rozumianą równość, która jest dziedzictwem PRL, wyciągamy religię polityczną, która jest spuścizną zaborów. Dorzucamy do tego dwudziestowieczne rozumienie suwerenności, miksujemy lęk przed zmianami obyczajowymi i dostajemy twór ideologiczny, który – jeśli się uda – może stworzyć ramę aktywizacji społecznej i być katapultą do władzy.

Dlaczego w roku 2015 rama Kaczyńskiego chwyciła?

To jest jedno z kluczowych pytań: dlaczego przez ćwierć wieku ofiary prawie nie narzekały, a teraz się zmobilizowały? Większość przez lata akceptowała swój los, więc „bunt ofiar” nie objaśnia sukcesów Kaczyńskiego. Na pytanie KBOS: „Czy jest Pan/Pani zadowolony/a ze swojego życia”, między 2014 i 2016 r. ponad 80 proc. odpowiadało, że są zadowoleni lub bardzo zadowoleni. I aż 60 proc. twierdziło, że dobrze żyje się ich rodzinie. Czyli to nie jest bunt ofiar ekonomicznych.

Jeżeli nie krzywdą, to co?

Piotr Sztompka ukuł pojęcie „niekompetencji cywilizacyjnej”. Można to nazwać udawaną europeizacją. W referendum akcesyjnym głosowało 58 proc. uprawnionych. Z tego 77 proc. „za”. Przystąpienie do Unii poparła więc mniejszość! Na referendum konstytucyjne pofatygowano się 43 proc., a „za” było 53 proc. Zdecydowana większość też nie była „za”! A w pierwszych w pełni demokratycznych wyborach w 1991 r. frekwencja wyniosła 43 proc. To pokazuje, że fałszywie wmawialiśmy sobie, iż po latach walki Polacy z entuzjazmem budowali długo wyczekiwaną demokrację.

Stworzyliśmy kłamstwo, w które uwierzyliśmy?

Pobożne życzenie, w które wierzyliśmy bezkrytycznie, a teraz się dziwimy, widząc, że społeczeństwo jest inne! Większość Polaków nie była specjalnie zainteresowana demokracją, wartościami liberalnymi i włączaniem nas do Europy. Zdecydowanej większości nigdy nie obchodziła konstytucja ani Trybunał Konstytucyjny,

Sąd Najwyższy, KRS. Jak w innych krajach, większość Polaków mało wie o Unii. Przez 20 lat ta większość była cicho, a teraz zabrała głos, bo politycy powiedzieli jej, że UE chce nasać do nas miliony islamskich uchodźców i pozbawić nas suwerenności.

W 2015 r., gdy blok historyczny skruszał, śpiący wulkan przemówił i zalał Polskę populistyczną lawą, na złożach której żyliśmy od lat?

Wcześniej go nie słuchaliśmy. Ale metafora wulkanu nie jest najbardziej trafna. To nie gniew ludu, ale ciężka praca i sprytne manipulacje alternatywnych elit politycznych doprowadziły do zwycięstwa

sił antyliberalnych. Badania Freedom House pokazują, że wiara w demokrację i gospodarkę rynkową słabła od 2004 r. A z analiz EBOR wynika, że prorynkowe reformy wtedy nie tylko się zatrzymały, ale też zaczęły cofać. Zanim PiS zdobył władzę, przez dziesięć lat demokracja i liberalna ekonomia traciły poparcie. Nie tylko w Polsce, lecz także w innych krajach wschodniej Europy organizowały się siły antyliberalne i powstawały alternatywne media.

Unia popsowała polską demokrację?

W większości krajów wejście do Unii zatrzymało reformy. Od 2005 r. zaczęła się erozja jakości demokracji mierzonej przez Freedom House. Trudno winić za to Brukselę, która wydała miliardy euro na stymulowanie wzrostu gospodarczego, inwestycji, świadczeń socjalnych i reform w nowych krajach Unii.

To kogo mamy winić?

Wchodzenie do Unii było procesem niezrozumiałym dla większości społeczeństwa. Protopopuliści robili z tego użytek, zapowiadając, że po akcesji rolnicy zbankrutują, zniemczą nas, wykupią ziemię itd. To zapadło w świadomość, chociaż lęki się nie potwierdziły. Przez lata w skupionych wokół parafii organizacjach społeczeństwa obywatelskiego formowało się i instytucjonalizowało antyunijne, ksenofobiczne, lękowe myślenie o polityce.

Platforma też coraz mniej mówiła o wolności, a więcej o sprawnym rządzeniu.

Elity zaczęły się bać, że wolnościowe pomysły mogą denerwować i integrować wyciszony antydemokratyczny elektorat. W dużym stopniu z tego wynikła inercja końca rządów Tuska.

Nie chciał tego procesu przyspieszać?

Tak tę ostrożność rozumiem. Reformy lat 90. wymagały podjęcia ryzyka politycznego. Ta gotowość znikła po wejściu do Unii. Marzenie się spełniło, więc wyborcy cofnęli zgodę na wyrzeczenia. Rządzące elity poczuły, że jeśli chcą utrzymać władzę, lepiej nie zadawać kolejnych wyrzeczeń.

Spółczesność weszła już na górę, nie chciało zdobywać następnej i to spowodowało erozję demokracji?

Badanie EBOR pokazało, że w całym regionie czas reform zatrzymał się ok. 2000 r. Ale spowolnienie reform, słabnięcie poparcia dla demokracji i gospodarki rynkowej nie świadczy o erozji systemu. Erozję powoduje działanie rządów PiS, których celem jest osłabienie demokracji i podważenie liberalnych wartości. Możliwa jest też jednak taka interpretacja, że w relacjach między elitami a elektoratami stało się coś, co ograniczyło możliwość skutecznego działania.

Co?

Erozja zaufania do rządzących, która otworzyła przestrzeń dla populistów wskazujących wroga w grupach zajmujących uprzywilejowane pozycje. W tym sensie Inglehart i Norris lepiej wyjaśniają to, co się u nas stało, niż ekonomia polityczna. Według nich, jeżeli przyczyny kulturowe stoją za dzisiejszym populistycznym buntem, to powinny zostać spełnione trzy warunki: powinno przybywać



Prof. **Grzegorz Ekiert**, europeista, socjolog, politolog i człowiek instytucja, odgrywający ogromną rolę w przybliżaniu Polski i jej spraw w świecie akademickim. Absolwent socjologii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Doktoryzował się na Harvardzie

i tu od 1991 r. pracuje. Ostatnio jako dyrektor Center for European Studies (CES), przejętej instytucji naukowych skupiającej naukowców zajmujących się różnymi aspektami studiów o Europie.

zwolenników populizmu ekonomicznego; powinna wzrosnąć niepewność co do tożsamości kulturowej; wyborca partii populistycznych powinien mieć spójny profil demograficzny. Tak w Polsce jest.

Czyli?

Aż 55 proc. pytanym w 2015 r. było za aktywną rolę państwa w gospodarce, więc poparcie dla populizmu ekonomicznego jest duże. Niepewność kulturowa też jest znacząca. Na pytanie CBOS: „Czy obawia się Pan/i, że wraz ze wzrostem zjawiska imigracji zatracimy naszą kulturę?”, „tak” odpowiada 73 proc. Czechów, 68 proc. Słowaków, 65 proc. Węgrów i 44 proc. Polaków.

Jesteśmy bardziej otwarci niż sąsiedzi, ale odpowiedzi rozkładają się podobnie jak podział na PiS i antyPiS. Profil demograficzny elektoratu populistycznego też jest dość wyraźny. Na PiS głosowało 47 proc. wyborców w grupie 60+, 55 proc. osób z wykształceniem podstawowym, 52 proc. rolników, 47 proc. emerytów... Widać, że dla grup o bardziej tradycyjnym profilu transformacja była traumatyczna nie tyle w sensie ekonomicznym, co kulturowym.

Ważniejsze są lęki niż cierpienia?

Z kilku powodów. Pierwszy z nich Piotr Sztompka nazwał narzuconą nowoczesnością. Zostaliśmy wyjęci z komunistycznej lodówki kulturowej i wystawieni na świat, który po II wojnie stworzył inny system wartości, relacji, hierarchii spraw i celów. Polskie elity intelektualne, które miały kontakty z Zachodem, szybko i entuzjastycznie nowy system kulturowy przyjęły. Większość społeczeństwa czuła się w nim obco, więc poczuła obcość do przyjmujących go elit i była wobec nich coraz bardziej wrogo nastawiona. Im więcej toczyło się dyskusji o roli kobiet, mniejszościach seksualnych, stylach życia itd., tym napięcie między większością a elitami bardziej rosło.

„Nie!” dla „świata rowerzystów i wegetarian”, jak mówił min. Waszczykowski.

Właśnie. Głosowanie na PiS jest odpowiedzią ludzi, których niepokoi świat nowych wartości. To nie jest osąd moralny, ale stwierdzenie faktu. Obcość postmodernistycznej kultury została wzmocniona przez fakt, że mamy za sobą męczące, trwające blisko ćwierć wieku zmiany. Najpierw budowaliśmy demokrację i gospodarkę rynkową. Potem adaptowaliśmy się do zaawansowanych standardów unijnych. To był proces przebudowywania instytucji, procedur i życia ludzi, których świat się zmienił niepokojąco.

Otworzyły się nowe możliwości.

Oraz ich konsekwencje destabilizujące życie. Choćby możliwość wyjazdu na Zachód. Jedni emigrują, a drudzy albo wahają się, czy jechać, albo ponoszą skutki tego, że inni wyjechali. Część zyskuje, większość jest zaniepokojona. Bo tradycyjne instytucje, wzory życia, kariery traciły znaczenie. Gdy wszystko się zmienia, nikt nie czuje się pewnie, bo nie ma jasności, co z nich może dla niego wynikać. Nawet najlepiej czujące się w nowej sytuacji elity nie przeżywały wszystkich konsekwencji rozszerzenia sfery wolności.

Gdyby przewidzieli, że jednym ze skutków będzie oddanie władzy populistom, nie byłyby entuzjastyczne.

Zwykli ludzie bardziej odczuwali nieprzewidywalność skutków choćby najlepszych zmian. Latami żyli w niepokoju. Wiele osób czuje, że nawet jeśli nic im nie zabierają, to kiedy wszystko się zmienia, mogą coś stracić.

Lęk?

To jest druga obok niepewności przyczyna zwrotu populistycznego. On dotyka nawet właścicieli firm, którym dobrze idzie. Bo nie wiadomo, czy będzie tak szło. Ćwierć wieku lęku ma skutki polityczne. A drugim wymiarem lęku potransformacyjnego jest obawa przed innym. Na początku transformacji ►

► większość mieszkańców wsi i miasteczek nigdy nie spotkała osoby z innego kraju.

...poza przechodzącymi przez Polskę armiami...

A teraz Polacy stali się narodem najbardziej entuzjastycznie korzystającym z możliwości podróżowania i wyjazdów zarobkowych. Przekonani o wielkiej roli Polski w historii Europy entuzjastycznie pojechali do Niemiec, Anglii, Francji. Okazało się, że tam mało kto zna zasługi Sobieskiego, Piłsudskiego, nawet Solidarności. W hierarchii dołów społecznych Zachodu Polak znalazł się odrobinę wyżej niż Turcy czy Pakistańczycy – albo nawet nie. To bolało przedstawicieli społeczeństwa wierzącego, że jest Chrystusem narodów.

Bo nie uwierzyli wieszczowi, że jesteśmy „pawiem i papugą”.

Tu nastąpiło dodatkowe zderzenie optyki elity i reszty. Bo Europa widziana z Brukseli ma miłą twarz, uśmiechy i wór pieniędzy. A ta, do której jedzie polski robotnik, to często londyński czy berliński slams. Okazało się, że Zachód ma dwie twarze. Jest twarz oficjalna – liberalna, otwarta, którą widzą elity negocjujące w Brukseli, uczestniczące w kongresach, mieszkające w eleganckich hotelach. I jest twarz, którą widzą polscy robotnicy jadący na Zachód do pracy, konkurujący tam z innymi migrantami i nisko kwalifikowanymi pracownikami. Europa doświadczana przez większość nie jest przyjazna dla nowych, nie lubi obcych, nie pachnie perfumami. Nie chodzi o parę tysięcy, lecz o kilka milionów Polaków znających zupełnie inną Europę niż doświadczana i opisywana przez liberalne elity. Krakowski taksówkarz, który był w Szwecji, Anglii, Niemczech, Hiszpanii, mówił mi, że woli tłuc kamieniem w Polsce, niż być gdzie indziej człowiekiem czwartej kategorii. Dla elit transformacji to doświadczenie jest często nieuświadomione i niezrozumiałe.

Historycznie każda duża zmiana wywoływała konflikty niezależnie, czy była wynikiem postępu technologicznego, katastrofy ekologicznej, wojny czy rewolucji. Tak musi być i tym razem. Przełomowe zmiany uruchamiają procesy dialektyczne: dwa kroki do przodu, krok wstecz. Ruch do przodu...

Nie da się kroków wstecz uniknąć?

Trudno. Bo reformy blokują też ci, którzy odnieśli korzyści w ich początkowych fazach i bronią swojej pozycji przed konkurencją ze strony grup chcących dalszych zmian.

Jesteśmy w fazie reakcji, ale nie ma się czym martwić,

bo ona była nie do uniknięcia i minie?

Lepiej myśleć, jak z tej fazy wyjść i co potem, niż rwać włosy z głowy i się nawzajem oskarżać. Ale trzeba tę sytuację rozumieć. Kiedy myślimy o ofiarach transformacji, zwykle interesujemy się najbiedniejszymi. A ona najmocniej dotknęła i podzieliła elity. Największymi ofiarami zmian ostatniego ćwierćwiecza były prowincjonalne elity. Intelktualne, polityczne i ekonomiczne.

W jakim sensie?

Elity warszawsko-krakowskie znały języki i świat. Ich integracja z Zachodem dawała korzyści ekonomiczne i statusowe. A elity Polski powiatowej w większości zostały tam, gdzie były, więc na zmianach straciły przynajmniej subiektywnie. To je popchnęło do buntu.

Pisowscy wójtowie mianowani teraz szefami państwowych Konzernów, pisowska burmistrz mianowana premierem...

...profesorowie prowincjonalnych uczelni bez szans na globalnym rynku akademickim, właściciele prowincjonalnych biznesów, którym się zdawało, że z apteki będą żyli jak w raju, a są pariasami na rynku zdominowanym przez wielkie sieci.

Gdy myślimy o ofiarach transformacji, wskazujemy najbiedniejszych. A ona najmocniej dotknęła i podzieliła elity. Największymi ofiarami zmian były prowincjonalne elity.

Oni nienawidzą zachodnich marketów, bo myślą, że przez nie tracą majątki. Nienawidzą Unii, która broni rynkowych praw marketów. I nienawidzą sądów stojących na straży swobody gospodarczej. To jest baza społeczna antyliberalnej rebelii.

W USA mówiło się o zderzeniu Main Street, czyli drobnego i średniego biznesu, z Wall Street, czyli korporacjami, zwłaszcza finansowymi.

To jest podział ekonomiczny i kulturowy. Ludzie Main Street są mniej zamożni, ale na ogół też bardziej religijni i konserwatywni. Dobrze im było w tradycyjnym kapitalistycznym świecie. Są niechętni nowym mniejszościom, bo one odbierają im część uprzywilejowanej pozycji. Mają złą opinię o rządach prawa i sądach, bo Wall Street skuteczniej z nich korzysta. W USA Main Street jest przeciw globalizacji, bo uważa, że ona sprzyja wielkiemu biznesowi i zagranicznym korporacjom. A w Polsce jest przeciw transformacji opartej na modelu Okrągłego Stołu, bo prowincjonalna elita widzi w niej spisek kosmopolitycznych elit warszawsko-krakowskich. Tradycyjnej biznesowej klasie średniej na ogół żyje się relatywnie dobrze, ale zderzenie z Wall Street sprawia, że zajmuje postawę defensywną, tradycjonalistyczną i pod wieloma względami reakcyjną.

To Main Street wybiera PiS?

PiS, Trumpa, Erdoğan, brexit, francuski Front Narodowy, węgierski FIDESZ, włoską Ligę. Przeciw Unii, globalizacji, porozumieniu NAFTA, migrantom i koncernom.

Demokrację rozwała międzynarodówka biznesu przeciw ponowoczesności?

To nie takie proste. Międzynarodówka biznesu i ponowoczesne wartości są po tej samej stronie. Demokrację w Polsce rozwalają nacjonaliści, ksenofobi, antyliberałowie i zwolennicy ingerencji państwa we wszystko. Ale oni też przyzwyczaili się do dobrodziejstw integracji. Po II wojnie światowej Theodor Adorno

rozwinął koncept osobowości autorytarnej. Jedną z jej cech jest zdolność do wyznawania sprzecznych poglądów. Badania socjologiczne pokazują istnienie w Polsce czegoś w rodzaju kolektywnej autorytarnej osobowości zbudowanej ze sprzecznych przekonań i wartości.

Czyli?

Na przykład 40 proc. Polaków popierających członkostwo w Unii głosuje na PiS, który toczy z nią wojnę.

Wśród tych, którzy chcieli wejścia Polski do Unii, jedni uwierzyli w projekt europejski, a drudzy tylko uznali, że to jest geopolitycznie lub gospodarczo konieczne.

Pierwsi to dzisiejsza opozycja, a drudzy to PiS. Pierwsi chcą być w Unii jak najbardziej można, a drudzy jak najmniej się da.

Na poziomie elit tak pewnie jest.

Wielu ludzi myśli, że trzeba do Unii, bo inaczej Ruscy nas zjedzą albo nie będzie pieniędzy.

Podobnie jest z demokracją. Większość wyborców PiS popiera demokrację, choć rząd PiS ją rozbija.

Bo ją rozumieją inaczej.

To nie zmienia faktu, że w obozie populistycznym istnieje społeczna świadomość akceptująca zdecydowaną rozbieżność między przekonaniami deklarowanymi a polityczną praktyką.

Czy to nie jest też problem hipokryzji obozu demokratycznego? Integrację objaśniamy głównie utylitarnie. Pokazujemy praktyczne korzyści jako prawdy, które mędrzec mówi wszystkim. A koszty integracji to prawda, której – jak pisał Mickiewicz – mędrzec nie odkrywa nikomu.

Trochę hipokryzji i poprawności jest dobre dla utrzymania cywilizowanych relacji. Zresztą większość te przemilczane koszty zna, bo one są przedmiotem gry politycznej. Fakt, że można legalnie pracować w każdym kraju Unii, da się opisać jako szansę dla rzutkich Polaków albo jako tragedię emigracji ofiar transformacji. Tak jak ostatnie ćwierćwiecze można opisać jako najlepszy okres w dziejach Polski albo jako „kraj w ruinie”. Proces dramatycznej polaryzacji polega m.in. na tym, że kwestionuje się pojęcie obiektywnego faktu. Każde kłamstwo jest dobre, póki jest skuteczne.

Jaki będzie dalszy ciąg tego procesu?

Tendencja ku coraz większej polaryzacji może się odwrócić i powstanie możliwość współpracy pomiędzy zwalczającymi się obozami.

Jakie kraje z takiego polaryzującego autorytarnego trendu wychodzą bez wojny?

Polaryzację trudno przewyciężyć, bo kiedy argumenty jednej strony nie docierają do drugiej, trudne są negocjacje i wychodzenie z konfliktu. Najbardziej brutalne populizmy XX w. kończyły się przegranymi wojnami. Ale są przykłady demokratyzowania autorytaryzmów. Tylko że to zwykle się dzieje po długim okresie autorytarnych rządów, które stopniowo się kompromitują i miękną. Wiele państw latynoskich cyklicznie oscyluje między demokracją a autorytaryzmami. To ryzyko wisi teraz nad Polską. Możemy wejść w cykl obalania demokracji przez autorytarny zamach, demokratyzacji, kolejnej próby autorytarnej reakcji... Argentyna kilkadziesiąt lat marnieje w takim wyniszczającym cyklu.

W Europie nie było tak od czasu II wojny.

Ale nie było na Zachodzie rządu, który by przeprowadził tak antydemokratyczne zmiany, jakie zachodzą w Polsce. Powrót do tego, co było przed 2015 r., jest już niemożliwy. Musiałby się wiązać z wielką czystką w aparacie państwa i z odwróceniem masy instytucjonalnych zmian. A przed nami jeszcze co najmniej rok rządów PiS. Ten proces zajdzie dalej, więc sytuacja będzie jeszcze trudniejsza.

Czyli?

Jeśli nastaną liberalne i demokratyczne rządy, trzeba będzie polską demokrację wymyślić na nowo. A odwrót od nacjonalizmu i populizmu nie będzie do przyjęcia dla tej części społeczeństwa, która jest teraz uprzywilejowana. Ona na zmianie władzy straci, więc będzie stawiała opór. Ważna też będzie rola Kościoła, który jednoznacznie popiera siły antyliberalne. Złamanie oporu będzie prawdopodobnie trudne bez zawieszenia liberalno-demokratycznych reguł państwa prawa. Nie wiem, czy następna polityka „grubej kreski” będzie możliwa. A nawet jeżeli da się taki opór zdławić, to bardzo trudno jest go zlikwidować. Przeważnie się odradza, gdy nowy system wolnościowy zostaje ustanowiony i populisci wracają do gry. Ale zanim będziemy się tym martwić, PiS musi stracić władzę, a to nie jest pewne.

I co wtedy?

Możliwe są dwie drogi. Droga węgierska, czyli przechodzenie do coraz bardziej autorytarnych form władzy, nie musi prowadzić do klasycznej tyranii, ale tworzy system, w którym wiadomo, kto wygra wybory, wolność słowa jest limitowana, opozycja może działać w ograniczonym zakresie, kręgosłupy są przez władzę łamane w miarę konieczności, niezadowoleni mogą emigrować. A jak Unia albo Ameryka naciska, to rząd robi ograniczone ustępstwa i pozory demokracji są zachowane na tyle, żeby Zachód nie miał tytułu do radykalnego działania. Kaczyński mówi, że chce iść tą drogą.

A drugi wariant?

To reakcja Amerykanów na Trumpa, która wygenerowała gigantyczny ruch społecznej samoorganizacji. Mobilizacja kobiet, studentów, mniejszości, uczniów szkół średnich. Masowy ruch, który może spowodować, że republikanie przegramy w listopadzie obie izby Kongresu. Polska ma potencjał, żeby pójść tą drogą.

Ruchy raczej gasną.

Ale ich istnienie jest elementem tej drogi. Tylko że muszą być organizowane lokalnie. Ruchy ogólnokrajowe mogą tylko być parasolem, który je łączy i wspomaga. Każdy głos trzeba zdobyć, pukając do drzwi mieszkań. Polityki nie robi się na szczeblu narodowym. To jest wielka lekcja amerykańskiej demokracji.

Czy pana zdaniem ma rację ta część nowych ruchów, która twierdzi, że stare partie stały się przeszkodą w odsunięciu PiS? Czy raczej mają ci, którzy powtarzają, że bez partii i ich aparatu nie da się wygrać wyborów, więc ruchy powinny podporządkować się partiom?

Nie wiem, czy dokładnie o taki wybór chodzi. Droga węgierska prowadzi do niewoli. Idąc nią, opozycja nic nie może osiągnąć. Droga podobna do amerykańskiej prowadzi przez odtwarzanie

albo budowanie korzeni demokracji na szczeblu lokalnym. Przez wybieranie najlepszych lokalnych liderów, popieranie ich kandydatur na wyższe szczeble itd. To oznacza wzięcie partii politycznych w nawias. Nie ich odrzucenie, tylko dostarczenie im nowej energii. Same muszą tego chcieć. To daje demokratom siłę.

Polski partyjny aktyw nie chce tracić miejsc na listach wyborczych.

Trzeba się zdecydować, czego się broni – demokracji czy miejsc w politycznej hierarchii. A poza tym konieczne jest działanie w obronie przestrzeni publicznej, w której demokracja może jeszcze istnieć.

Czyli?

Jeśli władza robi zamach na jakąś instytucję, to bronimy jej jak niepodległości, angażując instytucje i organizacje krajowe i międzynarodowe. Stawiamy opór i czekamy, aż władza się zmęczy i zacznie ustępować. W USA jest to klasyczna droga wielu organizacji pozywających rząd federalny i rządy stanowe za łamanie prawa. Wielu prawników się w to angażuje i daje to rezultaty. Tylko żeby ta droga była efektywna, sądy muszą być niezależne.

Która droga jest lepsza?

Najlepiej je łączyć. Obrona niszczonego przez rząd systemu demokratycznego może na początku być spektakularna i nagradzająca, ale ludzie się szybko męczą, a odzyskiwanie demokracji trwa lata.

Musi trwać lata?

Zwykle trwa. Demokracji się nie zdobywa, żeby potem iść do domu i przestać zajmować się polityką. By mogła funkcjonować, wymaga stałej troski i zaangażowania. Ponieważ polityka rządzi się w większości emocjami, trudno jest ten stan zaangażowania utrzymać. Kadencja prezydencka czy parlamentarna to już z punktu widzenia emocji społecznych długi okres. A władze autorytarne wkładają wiele wysiłku w demobilizowanie jednych grup społecznych i w kupowanie innych. Zmieniają też instytucje, żeby je chronić przed przeciwnikami. Dlatego im dłużej trwa autorytaryzm, tym trudniej go pokonać. W Polsce zmiany autorytarne zaszły już daleko. Minie dużo czasu, nim uda się je odwrócić. I trzeba być przygotowanym na to, że autorytarne tendencje nie znikną bez śladu.

ROZMAWIAŁ JACEK ŻAKOWSKI